



Zaklęcie na „W”

Michał Rusinek

ilustracje Joanna Rusinek









Michał Rusinek
Zakłęcie na „w”

Konsultacja merytoryczna: Anna Sobowiec
Muzeum Powstania Warszawskiego

© by Michał Rusinek
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje: Joanna Rusinek
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie V

ISBN 978-83-7672-464-5

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wyd-literatura.com.pl



Rozdział I

Rowerek

– Włodku, czy umiesz jeździć na rowerze? Pomóżesz mi?

Phi! Co za pytanie! No jasne, że umiem. Każdy głupi umie.

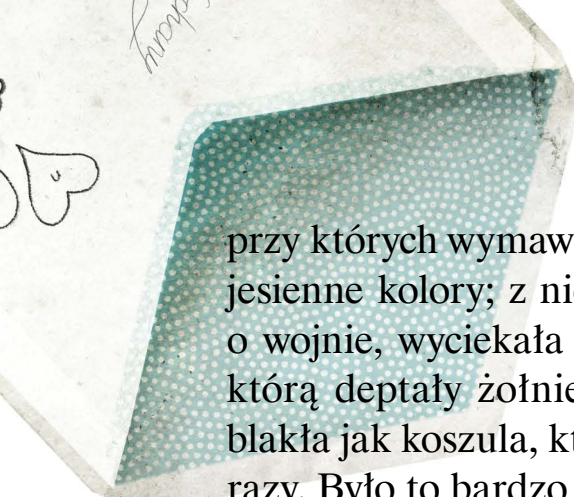
Była jesień, skończyły się wakacje i mieliśmy iść do trzeciej klasy, ale wybuchła wojna. To znaczy: nic tak naprawdę nie wybuchło, przynajmniej nie w naszej okolicy. A jednak było inaczej. Niby fajnie, bo zawsze jest fajnie, jak nie ma szkoły, ale my, dzieci, jakoś też nie mieliśmy nastroju do zabawy. Za to wszyscy dorośli wymawiając słowo „wojna”, ścisiali głos i mieli takie dziwne, przestraszone oczy. Niebawem okazało się dlaczego. To słowo na „w” było chyba zaklęciem wymyślonym przez jakiegoś bardzo złego czarnoksiężnika. I miało okropną moc: kiedy się je wymawiało, patrząc na jakiś przedmiot – ten przedmiot przestawał być kolorowy! Drzewa,



No jasne,




ze umiem!



przy których wymawiano słowo „wojna”, traciły jesienne kolory; z nieba, pod którym szeptało o wojnie, wyciekała cała niebieskość, a trawa, którą deptały żołnierskie buty, robiła się wyblakła jak koszula, którą ktoś wyprał zbyt wiele razy. Było to bardzo dziwne i wcale nie wesołe. Czuliśmy się jak na czarno-białej fotografii. Jasne, że takie fotografie super się ogląda, ale życie na nich wcale nie jest miłe. Spytacie, czemu czarno-białej, a nie tylko białej? No bo wkrótce pojawili się u nas Czarni Panowie, ci, którzy wywołali tę wojnę. A my – byliśmy biali.

– Włodku, i jak z tym rowerem? Pomożesz mi? – spytał jeszcze raz znajomy pan Biały Pan.

Nie miałem nic lepszego do roboty, no to się zgodziłem. Szczególnie że nie miałem własnego roweru, a tego wprawdzie nie dostałem na własność, ale mogłem na nim jeździć, kiedy tylko chciałem. Był może trochę zbyt dziecinny i za mały – czasami uderzałem kolanami o kierownicę – ale tak jakby mój. No i dziwna rzecz: zachował kolory, jakby nie działało na niego wojenne zaklęcie. Może trochę wyblakł, ale tak jak od słońca. Był wyraźnie czerwony. I co z tego, że dziecinny? Wszystkie chłopaki bardzo mi go zazdrościli.



Moje zadanie polegało na tym, żeby rozwozić po okolicy zaproszenia ślubne. Do roweru miałem przyczepioną wielką torbę, taką, jak mają listonosze. No i raz w tygodniu ten znajomy pan pakował mi tam piękne koperty z narysowanymi gołąbkami i kwiatkami, a ja zawoziłem je pod odpowiednie adresy. Nie wolno mi było zapisywać tych adresów, musiałem je wszystkie zapamiętać.

Po drodze czasami zatrzymywali mnie Czarani Panowie i pytali, co mam w torbie, a wtedy mówiłem im, zgodnie z prawdą, że zaproszenia. Nawet z dumą pokazywałem, co wiozę. Koperty były bardzo ładne. Wtedy machali rękami i kazali jechać dalej.

Zawsze myślałem, że ktoś, kto dostaje zaproszenie na wesele, powinien być z tego powodu wesóły. Ale ludzie, którym je zawoziłem, wcale nie sprawiali takiego wrażenia. Mieli smutne i poważne miny. I to za każdym razem, bo za każdym razem zawoziłem je pod te same adresy. Pomyślałem więc, że pewnie ludzie są znudzeni. Wesela co tydzień? To musi być nudziarstwo.

Dopiero kiedy wojna się skończyła, dowiedziałem się, że ten znajomy pan mnie okłamał. To wcale nie były zaproszenia na śluby i wesela,



zawoziłem je

pod te same adresy



ale bardzo ważne rozkazy. Gdybym wiedział, co przewożę, mógłbym się przez przypadek komuś wygadać. Albo jakiś Czarny Pan napotkany po drodze mógłby poznać po moich oczach, że coś kręcę. I wtedy pewnie bym zginął. Może nawet nie tylko ja... No więc dobrze, że nic nie wiedziałem. Rozwoziłem je i już. Nie było wtedy esemesów (wyobrażacie sobie?), nie było maili. Byłem za to ja i mój dziecinny rowerek.

